

PRENUMERATA

W MIEJSCU:

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie rs. 1 kop. 50
kwartalnie rs. — kop. 75

Cena pojedynczego numeru kop. 10.

Z PRZESYŁKĄ:

rocznie rs. 4 kop. 40
półrocznie rs. 2 kop. 20
kwartalnie rs. 1 kop. 10

TYGODNIK

OGŁOSZENIA.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz
petitu lub za jego miejsce.
za 2—6 razowe po kop. 4 za
wiersz.
za 7—10 razowe po kop. 3 za
wiersz.

CENA OGŁOSZEŃ
na pierwszej str. podwójna.
Reklamy po 10 k. za w. petitu.
Cena ogłoszeń zagranicznych po
10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie księgarnie, oraz po zagranicami guberni wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Piotrkowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Tomaszowie rawskim księgarnia J. Mazaraki—prócz tego,

w Częstochowie	W Gasztecki.	w Łasku	W. Grass.
w Będzinie	„ Janiszewski Stan.	w Łodzi	„ Janiszewski Leopold
w Brzezinach	„ Krzemieniewski Jul.	w Radomsku	„ Olszewski Michał
w Dąbrowie	„ Tomaszewski J.	w Rawie	„ Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

Wydzierzawiwszy polowanie w majątku W-go Szpilfogla Wola-Krysztoporska i Krężna, sprzedam pp. myśliwych, aby nikt, bez mojego piśmiennego pozwolenia, nie polował w tym majątku. Osoby, które samowolnie poważą się polować, zmuszonym będą pociągać do odpowiedzialności, drogą właściwą. (3—3)

Radaa Stannu **Libicki.**

RAJSKA LEONTYNA

Przełożona Pensji IV-ro klasowej Żeńskiej „w Petrokowie“

zawiadania Szanownych Rodziców i Opiekunów, że zapis uczennic, tak przychodnich jak pensjonarek, na rok 1886/7 rozpocznie się dnia 20 (8) sierpnia i trwać będzie do końca b. m.

Kurs nauk rozpocznie się 1-go września. (2—1)

SZKOŁA PRYWATNA Michaliny Jaworskiej

w „Petrokowie“

pozostaje i nadal w mieszkaniu W-jej Michiewicz, ulica Gimnazjalna. Lekcyje rozpoczną się 20 sierpnia 1 (września.) (2—1)

Egzamina wstępne do szkoły IV-klasowej filologicznej męskiej z pensjonatem **J. Popowskiego** rozpoczną się w dniu 4/16 sierpnia i trwać będą do dnia 19/31 (włącznie). Lekcyje rozpoczną się 20 sierpnia (1 września.) Program nauk ściśle zastosowany do programu gimnazjów klasycznych.

Przełożony zakładu

J. Popowski

(6—3) Kandydat Nauk Fizyko-Matematycznych.

5-cio kl. Instytut Naukowy w Kielcach.

Zapis uczniów przychodnich i pensjonarzy rozpoczyna się z d. 15 sierpnia r. b. Nauki z d. 1 września. W programie obok przedmiotów klasycznych pomieszczone są i przedmioty realne. W pensjonacie konwersacyja w jęz. francuskim i niemieckim przy dwóch guwernerach. Muzyka, fechtunek i lekcyje tańców dla życzących.

Przełożony Instytutu **W. Płoszyński.**

(4—2)

Powieść Elizy Orzeszkowej

SYLWEK CMENTARNIK

wyszedł z druku nakładem S. Lewenthala, jako tom 30-ty taniego zbiorowego wydania dzieł tej sławnej autorki i jest do nabycia we wszystkich księgarniach (2—2)

Aleksander Babicki

P. ADWOK. PRZYSIĘG.

przeniósł Kancelaryję do domu F. Aleksandrowicza. (3—3)

Lekcyje konwersacyi

języków francuzkiego i niemieckiego udziela patentowany konwersator tych języków. Wiadomość przy ulicy „Kazańskiej” dom Flättego, za fara. (3—1)

MULAT.

Ogier trakeński, maści karej, nagrodzony medalem na wystawie warszawskiej 1882 r., będący wówczas własnością JW-go Stojowskiego, do sprzedania w dominium Szyncezyce, odległość od stacyi Baby wiorst 8. (4—3)

Ogród owocowy i warzywny

mający przeszło 4 morgi, pod miastem fabrycznym, do wydzierzawienia od 1 listopada r. b. na lat 3. Wiadomość u właściciela w Białobrzegach, przez Tomaszów Rawski. (7—1)

Z POWODU MEMORYJAŁU

Warszawskiego Komitetu Giełdowego w sprawie żydowskiej.

(Przekład z „Warszawskiego Dniownika.”)

W memoryjale przedstawiciele warszawskiego komitetu giełdowego, położono silny nacisk na znaczenie w przemyśle tutejszym żydów, przedstawiających jakoby przeciwwagę pierwiastkowi germańskiemu. Autorowie memoryjału mówią, że „rola żydów w przemyśle kraju tutejszego dotychczas przedstawia się przemagującą;” fabrykantom zaś niemieckim zrobiono zarzut ważny, choć zupełnie zasłużony, że „zagraniczni kapitaliści niemcy starają się używać do pomocy tylko zagranicznych majstrów i robotników.”— Sprobujemy na zasadzie danych statystycznych sprawdzić, o ile żydzi przeważają w przemyśle tutejszym i o ile przewyższyli niemców, dając zarobek siłom technicznym i roboczym miejscowym, nie zaś zagranicznym.

W marcu 1885 r., z rozporządzenia władz wyższych, zebrano wiadomości szczegółowe i dokładne o fabrykach i zakładach kraju tutejszego, mianowicie o takich, w których pracuje najmniej 25 ludzi. Ze wszystkich gubernij kraju tutejszego przemysł najbardziej jest rozwinięty w gubernii piotrkowskiej i tam też daje się uczuć potrzeba przeciwwagi pierwiastkowi germańskiemu.

Z wyżej wspomnianych danych widzimy, że w gubernii piotrkowskiej w marcu 1885 r. fabryk takich rozmiarów było 181: do niemców bez różnicy poddaństwa należało 140, do żydów 34, do polaków tylko 7. W fabrykach tych pracowało różnych majstrów i zarządzających 572, pomiędzy którymi było cudzoziemców 361, poddanych rosyjskich chrześcijan 197, żydów zaś tylko 14, t. j. mniej niż 2,5%. Wszystkich robotników w tych fabrykach było 36,246, pomiędzy którymi znajdowało się poddanych rosyjskich chrześcijan 30,973, cudzoziemców 5,171 i żydów tylko 120 t. j. mniej niż trzecia część procentu.

Dane powyższe dowodzą bezwątpienia, iż żydzi w przemyśle fabrycznym biorą większy udział niż polacy; lecz udział ten jak widać ogranicza się tylko do wkładania kapitału w przedsiębiorstwa fabryczne,

w których prawie zupełnie brakuje żydów jako techników i rolników. W memoryjale przedstawiciele komitetu giełdowego powiedziano, że tutejsza ludność „rdzennie krajowa” daleko mniej przygotowaną jest do działalności przemysłowej, aniżeli żydzi; przytoczone jednak cyfry przekonywają, że całe przygotowanie żydów do przemysłu ogranicza się jedynie do posiadania kapitałów, wkładanych w fabryki prowadzone nie przez nich, ale przez polaków i niemców, przewyższających i wiadomościami technicznymi i doświadczeniem specjalnem.

W granicach tej gubernii przemysł fabryczny skupia się głównie w powiatach łódzkim i będzińskim. W tym samym wykazie znajdujemy następujące dane co do obu tych powiatów:

W Łodzi i powiecie łódzkim w marcu 1885 roku z większych fabryk 84 należało do niemców, 17 do żydów i 1 do polaka. W 84 fabrykach, będących własnością niemców, było zarządzających i majstrów poddanych rosyjskich chrześcijan 73, cudzoziemców 72 i żyd 1; robotników poddanych rosyjskich chrześcijan 16,414, cudzoziemców 1,414 i ani jednego żyda.

W 17 fabrykach, należących do żydów, było zarządzających i majstrów poddanych rosyjskich chrześcijan 30, cudzoziemców 32 i żyd 1; robotników poddanych rosyjskich chrześcijan 3,821, cudzoziemców 284 i ani jednego żyda. W Łodzi zatem i powiecie łódzkim żydzi, posiadający wiele fabryk, utrzymują w nich trochę wyższy procent robotników zagranicznych, aniżeli nawet fabrykanci niemieccy. W jednej za to fabryce należącej do polaka (p. Skrudzińskiego) pracowali wyłącznie poddani rosyjscy chrześcijanie, w liczbie 55 osób.

W powiecie będzińskim polacy posiadają trzy fabryki; w nich było zarządzających i majstrów poddanych rosyjskich chrześcijan 3, cudzoziemców 5, żydów zaś wcale nie było; robotników poddanych rosyjskich chrześcijan 391, cudzoziemców 85 (18% ogólnej liczby robotników) i ani jednego żyda. W 21 fabrykach, należących do niemców, było majstrów i zarządzających: poddanych rosyjskich chrześcijan 8, cudzoziemców 67 i żydów 3; robotników poddanych rosyjskich chrześcijan 3,861, cudzoziemców 3,153 (około 45% ogólnej ilości robotników), żydów zaś nie było. Tamże, w dwóch fabrykach należących do żydów, zarządzającym i majstrami byli tylko cudzoziemcy w liczbie 9, ani poddanych rosyjskich chrześcijan ani żydów nie było między nimi; robotników pracowało w tych fabrykach poddanych rosyjskich chrześcijan 90, cudzoziemców 57 (39% ogólnej ilości robotników) i ani jednego żyda.

Z cyfr powyższych przekonywamy się, iż żydzi przyjmują robotników cudzoziemców prawie tak chętnie jak i niemcy i, że fabrykanci polacy trzymają ich daleko mniej, aniżeli niemcy i żydzi.

Wszystkie te dane przekonywają jaknaj-

oczywiście, że fabrykanci żydzi zupełnie nie nie zrobili dla przyciągnięcia żydów do pracy przemysłowej w należących do nich fabrykach, bądź to jako techników i majstrów, bądź też jako robotników. A ileż to korzyści mogliby oni przynieść, zachęcając i przyciągając do pracy w fabrykach niepracujący proletaryjat żydowski, zajmujący się nędznym, ledwie mogącym go wyżywić drobnym handlem, faktorstwem i różnymi podejrzaniem zajęciami—jednym słowem wszystkim, co kto chce, prócz rzeczywistej pracy produkcyjnej! Na kimże więc, jeśli nie na bogatych fabrykantach żydowskich leży obowiązek dać zarobek uczciwym swym biednym współwyznawcom, których olbrzymia większość skutkiem biedy zmuszoną jest chwycić się różnych przypadkowych zajęć, a niekiedy i przestępnych sposobów zdobywania środków do życia. Na tem polu fabrykanci żydowscy mogliby przynieść olbrzymią korzyść; lecz jak widać, nie zgadza się to z ich widokami, z przyczyn, których się można łatwo domyślać. Rozumie się, iż nie zamierzają oni powoływać się na to, że pomiędzy żydami niema takich, którzyby umieli pracować na różnych warsztatach i t. d. Lecz po pierwsze, można ich przyznać od młodości do takiej roboty, bo przecież i robotnik fabryczny niemiecki nie przychodzi na świat jako doskonały tkacz i t. p., ale uczy się tego od młodu; powtóre, w każdej fabryce są zajęcia wcale nie specjalne, które może spełniać każdy. Żeby być palaczem i t. p. wcale nie potrzeba posiadać jakiegos specjalnego doświadczenia, a można się tego nauczyć w ciągu kilku dni, a nawet kilku godzin. Tymczasem nawet u najbogatszego z fabrykantów żydowskich, mianowicie u p. Izraela Poznańskiego, niema w fabryce ani jednego żyda robotnika, chociaż znalazło się tam zajęcie dla 2, 137 robotników poddanych rosyjskich chrześcijan i dla 172 cudzoziemców. W tej samej fabryce w marcu 1885 r. było 16 majstrów z pierwszej kategorii i 8 z drugiej; żydów zaś wcale nie było.

Taki zupełny brak ze strony fabrykantów żydowskich chociażby jakichkolwiek usiłowań do skierowania żydów ku pracy fabrycznej, nie da się niczem innym objaśnić,

jak tylko pogardą wszelkiej pracy fizycznej przez żydów, jakoby przeznaczonych do szlachetniejszych zajęć...

W rezultacie jednak wypada, że bieda zmusza żydów brać się do jaknajbardziej ponizających i przestępnych zajęć, oraz napełnić więzienia, dokąd z pewnością nie dostawiliby się w tak wielkiej liczbie, gdyby mogli znaleźć sobie miejsca w fabrykach.

Autorowie rozbieranego przez nas memoriału twierdzą, iż dzięki prawu z 1862 r., które pozwoliło żydom nabywać majątki ziemskie i grunty, przyczynili się oni wielce do rozwoju przemysłu po wsiach. Tymczasem, z pośród 34 większych fabryk, należących do żydów w gubernii piotrkowskiej, tylko pięć znajduje się po za obrębem miast, a z tych dwie tylko założone zostały przez żydów; pozostałe zaś nabyli oni od różnych osób. Wogóle w przemyśle wiejskim kraju tutejszego, żydzi odgrywają znakomicie mniejszą rolę, aniżeli w przemyśle miejskim.

Z TEATRU.

We czwartek zeszłego tygodnia grano u nas po raz pierwszy komedię w 4-ach aktach, Zygmunta Przybylskiego p. t. „Wicek i Wacek”. Osnowa tej sztuki jest taka. Szlachcic Żymalski (p. Halicki) ma syna Edwarda (p. Sliwicki), skończonego rozpuśtnika i utracjusza, który pod pozorem studyjów naukowych, traci w Warszawie w towarzystwie złotej młodzieży i dam półświatka resztę ojcowskiego mienia. Siostra Edwarda, Helena (p-na Ziemińska) dziewczę pracowite i szlachetne, jest zupełnie przeciwstawieniem brata. Wszystkie te trzy postacie traktowane są tylko szkicowo. Cała zato siła twórczego talentu autora uplastycznia się w innej wybornej trójce, którą przedstawiają stary Klepaki (p. Wójcicki) i jego dwaj synowie: Wicek (p. Solski) i Wacek (p. Roland). Ojciec, typ starego szlachcica niedołęgi, jest zupełnie zawojowany przez synków hajdamaków i urwipolciów; a chociaż srodze nachmurza lice, ilekroć synkowie po kilkodniowej nieobecności wracają z jarmarku lub sąsiedzkiej pohulanki, jednakże zawsze zostaje pokonany

dowcipną i hałaśliwą wymową dzieci i ostatecznie musi się nietylko udobruchać, ale jeszcze przeprosić winowajców! W gruncie rzeczy są to chłopcy ze złotymi sercami, lecz głowami... do pozłoty. Dobroć ich i skłonność do przyjaźni szczerzej, bezgranicznej, doskonale uwidatnił autor we wzajemnym stosunku dwóch lobuzów; jeden za drugim „skoczyłby na dno piekła.” To też nie dziwnego, że w złote serce Wacka trafiła strzała amora. Chłopak zachwycony pięknoscią i szlachetnymi przymiotami duszy Heleny, pokochał ją miłością czystą i gorącą, która go popycha do poświęceń. Łatwą do nich sposobność zgotowały niezaradność i szlachecka próżność starożymskiego, tudzież lekkomyślność Edwarda, dzięki którym moc weksli i obligów znalazła się w rękę dybiącego na ich nie-szczęście Niemca Fausta (p. Antoniewski). Żymalscy zagrożeni subhasta znajdują wybawiciela w szlachetnym Wacku, który zrzeka się zupełnie swej części majątku w celu zapłacenia długu Żymalskich. Wicek z całą braterską gotowością dopomaga bratu do przeprowadzenia urzędowych formalności.

Sztuka wielce zyskałaby na piękności i prawdzie, gdyby autor nie wprowadzał na scenę postaci zbytecznej, dość niezręcznie przyklepionej do całości—kulturträgera Fausta. Autor zamierzył zrobić z niego demona Żymalskich, a zrobił mówiące trywialnie—piąte koło u woza, gdyż i bez tego (uczciwego zresztą Niemca) Żymalscy posiadają dostateczne kwalifikacje do zgotowania sobie majątkowej ruiny. Morały wygłaszane szorstko, a nawet brutalnie przez Fausta w akcie 1-ym i 3-im są właśnie tą niesmaczną, bo zwietrzałą tendencyjną słonką, którą autor naszpikował bez potrzeby swą smaczną i soczystą pieczę. Wogóle drugorzędne postacie w tej komedii kreślone są bardzo słabo. Publiczność bawiła się na niej doskonale, dzięki wybornej grze pp. Wójcickiego, Solskiego i Rolanda. P-na Ziemińska grała rolę Heleny również z wyższem poczuciem artystycznym. Z reszty artystów zasługuje jeszcze na wyróżnienie pan Fejde (Zabawnicki) który z wielką prawdą odtworzył typ starego szarman-

NI TO—NI OWO.

XXXVII.

Jeszcze parę tygodni—a miasteczko nasze, silnie w czasie kanikuly opustoszałe, znowu się ożywi—o tyle naturalnie, o ile w naszym drzemiącym grodzie o jakim-bądź ożywieniu mowa być może. Wróć tak zwani „letnicy” i spodziewać się należy, że wróć z mniejszym lub większym zasobem sił i zdrowia, nabytym wśród pól, łąk i gór. Nabytek to bardzo pożądany, bo przyda się do łatwiejszego znoszenia różnych przeciwności życia, następujących się na każdym kroku, zwłaszcza w tych warunkach, w jakich się żyje na naszym partykularzu.

Pomijając już okoliczności zewnętrzne, od nas niezależne, ileż to w nas samych mieści się materjału, zatruwającego życie. Tu wymienię tylko dwa piękne przymioty: plotkarstwo i kłótniwość. Kochane ploteczki w tych czasach jakoś ucichły, spracowane buzie kumoszek umilkły; rozumie się jednak że ta cisza, to nie jest pokój, tylko zawieszenie broni, i po chwilowym odpoczynku, języzki zaczną znów obracać się równie szybko i biegle, jak dawniej—niechno tylko „towarzystwo” napowrót się skompletuje! Dobra jednak i chwila spokojności. Wolę więc nie budzić licha—niech śpi.

Zato, co się tyczy tradycyjnej i przysłowiowej naszej skłonności do sporów i kłótni, do wzajemnego przekomarzania się, do kierowania się podszeptami tuzinkowych, drobnostkowych ambicyjek, to ta zaleta ży-

je w nas ciągle—i żadna pora roku, żaden stan temperatury, ani jej stłumienie, ani uspienie nie jest wstanie. Ztąd pochodzi to, że żaden projekt jakiegokolwiek czynu zbiorowego powieść się i wejść u nas w życie nie może; bo zaraz znajdzie się ktoś, co w danym projekcie, nie widząc wprawdzie innych wad, tylko tę jedną, że nie od niego ale od kogo innego wyszedł (i tę jedyną wadę uważając za zasadniczą) paraliżuje zamiary i działania, nieraz ku najlepszym celom skierowane.

Ja za takim przykładem iść nie chcę, i chociaż nowy projekt „Dziennika Łódzkiego” nie moim jest pomysłem, chociaż w wielu względach zapatrywań tego organu nie dzielę, jednak obecnie staje bezwarunkowo i stanowczo po stronie „Dziennika”. Idzie mianowicie o to, żeby niemiecka gazeta łódzka („Lodzer Zeitung”) przestała na świat Boży się ukazywać. Tak radzi Dziennik germańskiej swej koleżance. Pozornie tego rodzaju projekt mógłby wydawać się żartobliwym; jednakże „Dziennik” motywuje swą radę niezbitemi argumentami, tak, że dziwić się wypada, iż nikt dotychczas na tę myśl nie wpadł, i że się ona pojawia dopiero wtedy, kiedy na intytulacyi Łódzki widzimy napis: „23 Jahrgang”. Więc to już rok dwudziesty trzeci działalności organu niemieckiego na ziemi słowiańskiej, nb. działalność ze wszech miar szkodliwej, jak to „Dziennik” niezbicie dowiódł. I teraz dopierośmy się spostrzegli?.. Wszelako lepiej późno, niż nigdy—i jest nadzieja, że ludzie dobrze myślący, a przynajmniej chcący dobrze myślących u-

dawać (ludzi tej ostatniej kategorii zjawia się w Łodzi spora garstka od czasu, jak niemieczyzna w tem mieście uczuła niejakie, choć słabe uginanie się gruntu pod nogami), jest mówię nadzieja, że tacy ludzie przestaną pangermański organ popierać...

Smutną bardzo, a bardziej jeszcze wstrętną jest dla mnie rzeczą, prawie za każdym razem na tem miejscu o teutonach pisać, kiedy radbyn o nich nie myślę i zapomnieć choć na chwilę że ten zacy narodek mamy za sąsiadów. Cóż jednak robić, kiedy sami się pod pióro napraszają. Co mówię! nietylko pod pióro, ale wszędzie, na każdym kroku, wyrzuceni drzwiami wracają oknem, i łatwiej się much wśród lata pozbyć, niż opędzić się przed tem natręctwem, przechodzącem często w naiwny i oczywiście nieświadomy siebie cynizm. Tak np. oprócz rozmaitych pijawek różnych stanów, przybywają do nas coraz częściej Niemcy w charakterze poprostu żebraków ulicznych, i usiłują dla wyludzenia „dyski” wzruszać nasze serca mową Goethego, choć bynajmniej nie jego stylem! Jeżeli kto, to chyba te indywiduala zupełnie się kwalifikują do ekspedycyi etapem po za kordon. Niedostateczne to wprawdzie zadośćuczynienie za wypędzenie tysięcy pożytecznych i spokojnych pracowników, ale zawsze byłby to jakiś początek. Szkoda tylko, że te osobniki uchodzą oka naszej policyi, oka w innych rzeczach tak bacznej i przenikliwej.

Że to oko tak baczne i przenikliwe nie widzi również, co się dzieje w nocy w ogrodzie kolejowym—to nie dziwota „bo kiedy się ściemni nie można widzieć nic.” Wy-

ta i zabawił nas swemi koperczakami do starej ale pretensjonalnej Modrzyckiej (p-ni Bitkowska).

W niedzielę dawano obraz ludowy w 3-ach aktach p. t. „Smocza jama” p. Kamińskiego. Wyborny typ organisty starej daty odtworzył nam w tej sztuce p. Wójcicki (Miechodmucha) a z sympatycznej roli studenta Bardosa dobrze wywiązał się p. Roland. Natomiast ośmielamy się wątpić, czy właściwie powierzono rolę ekonoma p. Halickiemu, zdolnemu zkądnąć artystę.

W poniedziałek przedstawiono komedię Abramowicza „Oddajcie mi żonę”, a w wtorek „Niema męża w domu”, „Wigilia Ś. Andrzeja” i „Wujaszek Alfonsa”. Dzięki dobrej grze całego towarzystwa, nie razil nas zbyt mocno nawet p. Orliński (Sostenes) chociaż grał bardzo niewprawnie, do czego przyczynił się brak wymowy, czy też może za częste zbliżanie się do budki suflerskiej. Powinny też panowie artyści nieco więcej dbać o poprawność języka w nędznie tłumaczonej komedii „Niema męża w domu”. Słyszeliśmy bowiem tyle dziwolągów językowych w tej sztuce, że na wyliczenie ich nie starczyłoby nam miejsca. Dwukrotne wysłuchanie „Wigilii Ś. Andrzeja” utwierdziło nas w wysokim uznaniu talentu p. Dorowskiego (Stach Badył), który widocznie żył między ludem i poznał go wybornie, oraz p-ni Ziemińskiej (Marynka). Zdolna ta artystka posiada wszystkie warunki tego rodzaju kreacji: dźwięczny i miękki głos nadający się do wszelkich modulacji, wdzięk naturalny w każdym ruchu i geście, nareszcie głęboką znajomość prostaczek duszy wieśniaczki.

We środę powtórzono „Wicka i Wacka” z przeznaczeniem połowy dochodu na cel dobroczynny. Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Bawiono się równie dobrze, jak na pierwszym przedstawieniu, tej sztuki. Żałujemy, że tak krótko gościło u nas towarzystwo krakowskie i wyrażamy dlań, jak równie dla dzielnego jej kierownika p. Antoniewskiego i energicznego reżysera p. Jejde zupełne uznanie. J. L.

Wiadomości Bieżące.

— **Sprawa z koszarami**, na gruncie miejskim w roku 1863 przez starożykonnych zbudowaniem, została nareszcie załatwiona. Właściciele podjęli się potrzebnych, acz kosztownych reparacji całego budynku, i roboty obowiązali się ukończyć do 1-go października r. b. Załatwienie tej sprawy pociągnie za sobą znaczną ulgę przy rozkwaterowaniu wojsk. Dla niewtajemniczonych musimy dodać, że właściciele tych zabudowań usuwali się od ich reparacji, żądając na ten cel, bez żadnych ku temu podstaw, kilku tysięcy rubli. Odnaleziona pierwotna umowa rzecz całą na gruncie właściwym postawiła. Teraz życzyć sobie tylko należy, ażeby ci, których to obowiązuje, danego na piśmie przez właścicieli koszar zobowiązania dopilnowali.

— **Fabryka syropu** kartoflanego, istniejąca od lat wielu w Piotrkowie, będzie sprzedana. Powodem tego ma być brak wody, co zmusiło fabrykę do ograniczenia produkcji, a nawet od niejakiemu czasu do wysyłania półproduktu do Nowego-Dworu, gdzie ten półprodukt jest przerabiany ostatecznie na syrop kartoflany. Obie te fabryki, tak w Piotrkowie jak i w Nowym-Dworze, należą do firmy holenderskiej Scholtena.

— **Kradzież**. W nocy z wtorku na środę, nieznanymi złodziejami, zakradłszy się oknem przy alei Aleksandryjskiej do domu p. Kamockiego, wynieśli z mieszkania pani B. bawiącej u wód, część pościeli i bielizny, co uczyniwszy, uszli niespostrzeżeni. Okno zostało otwarte od zewnątrz, przez przewiercenie świdrem dziury w oknie obok łufika. Fakt ten bynajmniej nas nie dziwi; przeciwnie, dziwi nas to, że złodzieje nie zajechali z furami i nie wynieśli wszystkiego co się znajdowało w mieszkaniu nieobecnej pani B. Jakże bowiem w tak odludnym miejscu ma się znajdować policyja, skoro trudno się z nią spotkać w środku miasta, i często całą „Peterburską” przejść można napróżno, szukając w nagłym wypadku milicyjanta. Pod tym też względem coraz częściej słyszymy skargi.

— **Przeistawmy raz** deklamować a weźmy się do czynu. Dlaczego we wszystkich naszych sklepach taka moc zagranicznych niemieckich perfum i mydeł? Oto dlatego, że jak nas objaśniono, przeważnie takie są żądane, jako lepsze. Wstyd i hańba! toż istnieją krajowe fabryki perfum i mydeł. Odczepmyż się już raz sami od tych niemców i nie postępujmy jak małe dzieci. Fałszem jest, żeby ani jednej fabryki w Królestwie i Cesarstwie nie było godnej poparcia i dorównującej dobrocią wyrobom perfumierskim zagranicznymi. Mała w ostateczności różnica pod tym względem, nie powinna wchodzić w rachubę!

— **O organach** nowych, które ma nabyć tutejsza parafia do kościoła farnego pisaliśmy w przeszłym tygodniu; obecnie zaś proszeni jesteśmy o doniesienie, iż dotychczasowy organ farny, jest za umiarkowaną cenę do sprzedania. Może więc który z prowincjonalnych kościołów zechce skorzystać z nadarzającej się tak szczęśliwej okazji?

— **Ogrodnicy tutejsi** sami sobie winni, jeśli skarżą się na brak zbytu. Niechaj nam bowiem wytłomaczają, dlaczego za kalafiora, za które płaci się u przekupniów po kop. 4 za sztukę — oni żądają po kop. 15? Porównując zaś jedne i drugie, doszliśmy do przekonania, że niczem się one nie różnią — ani wielkością, ani świeżością.

— **Krwawa biegunka i ospa**. Pierwsza epidemicznie rozszerza się od paru tygodni w Piotrkowie; druga zaś w Łodzi. Warto by zatem zachować pewną ostrożność i strzedz się u nas, dla uniknięcia pierwszej z tych chorób, spożywania w znacznej ilości surowizn i niezupełnie dojrzałych owoców.

— **Lody**. Od pewnego czasu wystąpił do konkurencji w ulicznej sprzedaży lodów p. Szymański, jeden z tutejszych właścicieli cukierni. O ile słyszeliśmy, inowacji tej rokować można wielkie powodzenie; p. S. bowiem wysyłając tylko od południa każdego dnia swój towar na ulicę, sprzedaje po 100 — do 150 porycji dziennie.

pada więc tylko prosić kogo należy o umieszczenie na noc, przy obu wejściach do ogrodu, oświetlonych latarniami napisów: „osobom przyzwolonym, oraz mającym jakąkolwiek ilość pieniędzy w kieszeni, zaleca się niewchodzenie do tego ogrodu.” Zyska na tem i bezpieczeństwo i moralność publiczna.

Wypędzony o zmroku z ogrodu przez Afrodytę w towarzystwie Hermesa, uciekam pod opiekę Melpomeny, żeby przy jej pomocy jako tako opędzić się nudom. I wyobrażam sobie, że ujrzę tam lud nasz mazo-wiecki lub krakowski w jego malowniczej odzieży, z jego sympatyczną, rubaszną szczerością, naiwnością w ruchach i mowie, werwą w śpiewie, dziarskością w tańcu. W ten sposób chcę sobie powetować to, iż losy zawistne nie pozwoliły mi przepędzić choć kilka tygodni na łonie natury, wśród tych jej wychowańców. Wreszcie niechbym się już tam znalazł w towarzystwie wesółych Gallów, lekkim i subtelnym obdarzonych dowcipem. Lecz nie — spotyka mnie i tu wielce niemily zawód: znów widzę prusaków, i to jeszcze sztywne, arrogantnie pruskie żołdactwo „w oryginalnych mundurach.” Hal — wystaw sobie — wróć tu kiedy indziej, a może będzie lepiej. Po paru dniach przychodzę i wpadam tym razem w towarzystwo głębokomyślnych i ciężkich od piwa bawarów! Coby tu zrobić, żeby tych niemców nie mieć ciągle przed oczyma? Na szczęście przyrzekają mi, że to już po raz ostatni. Dzięki i za to — już też dawno był czas potemu!... Jeżeli bez niemców żyć już nie można, to postaramy się o trupę zdolną do odtwarzania

na scenie dzieł Schillera; ale lichym współczesnym fabrykantem, zbyt silnie lokalnym kolorytem zabarwionym, śmiało możemy dać pokój.

Żeby przed niemcami uciec, trzeba by chyba wznieść się aż w sfery napowietrzne, jak niedawno zrobił p. Miłosz, — choć to podróż niebezpieczna i łatwo z niej kaleką wrócić, albo zgoła kark skręcić. Jednak rozkosz musi być wielka jednym rzutem oka takie przestrzenie ogarnąć, tyle od razu ujrzyć rzeczy ciekawych, a zapewne i pocieszających...

Tak myśląc, zamierzyłem udać się w ślady Miłosza, nie zważając na żadne niebezpieczeństwa. Szczęściem jednak zreflektowałem się dość wcześnie i doszedłem do przekonania, że nie warto. — Cóż bo ujrzę? Szerokie pola, usuwające się z pod stóp polskich i coraz gęściej obsiadłe niemcami krzątającymi się po tej ziemi, jako owad prusaczy po ścianie kuchennej; ujrzę na ziemi, stojącej jeszcze w naszym posiadaniu, bujne zboża, obfitem obciążone ziarnem, ale sprzedane spekulantom jeszcze na wiosnę, kiedy były zielone; liczne trzody bydła na łąkach dworskich, ale wystawione wraz z całymi dobrami na subhastację; wysokie kominy fabryczne, ale niemieckie; polski zaś lud jest w tych okazałych fabrykach tylko wyzyskiwanym paryjasem, więcej nawet niż paryjasem, bo prawie niewolnikiem, tylko że zamiast łańcuchów, skrupowany jest przepisami, wydawanymi arbitralnie przez panów „dyrektorów jeneralnych” Wiesterów i im podobnych!... Ujrzę jeszcze tumanu kurzu na drogach, a wśród tych

tumanów biedki i wózki, wiozące na stronę dobroczyńców i opiekunów naszego obywatelstwa, którzy spieszą upominać się o lichwiarskie procenta, lub o punktualną odstawę nawpół darmo kupionego zboża... W nieszczęśliwą chwilę się wybrawszy, mogę jeszcze trafić na widok płonącego jakiego naszego miasteczka, podpalonego przez wariata, którego przez niedbalstwo nie osadzono w domu obłąkanych — i mogę zobaczyć tłum ludzi oszalałych z bólu na widok swej ruiny, wlokących nieszczęśliwca do ognia i piekących go żywcem!.. tak, mogę to widzieć, choć coś podobnego wydaje się wymysłem jakiejś chorej imaginacji; takie wypadki u nas się przytapiają. Wiatr nieprzyjazny mógłby mnie unieść jeszcze na zachód, gdzie ujrzałbym hydrę krzyżacką, najeżoną milionami bagnatów, jakby szczecina stalową, rozdziawiającą ku wschodowi paszczę wiekiście głodną, niezem nie zapchaną, cheiwie porządającą tego co nam jeszcze zostało i każdej chwili pochłonąć nas gotową. A możebym nawet, przelatując nad Gastein, dojrzał trójwłosą głowę tego gadu, odbierającą lokajskie pokłony od europejskich dyplomatów?..

Tak jest — lepiej nie puszczać się w podobne sfery, lepiej nie widzieć tego wszystkiego, co się teraz na szerokim świecie dzieje i — zostając w swojskim zakątku, pograć się napowrót, wraz ze współobywatelami, w słodką siestę, z której nikt nas nie wyrwie — chyba grom spadający z zachodniego nieba. Z.

Porecja kosztuje kop. 6 i przygotowana jest bardzo elegancko.

— **Do nowomurującej się** przy stacyi drogi żelaznej miejskiej studni, przedsięwzięcia począł dawać nadzwyczaj lichą cegłę, przez co murowanie musiało być wstrzymanem, a rozsypująca się cegła, dla odznaczenia, wapnem została oblaną.

— **Losy loteryjne.** Do jednego z Łódzkich kantorów loteryi nadesłano w tych dniach z zagranicy propozycję wzięcia dość znacznej ilości losów loteryi hamburskiej w celu rozprzedaży. Kolektor miał nie przyjąć propozycyi, tłumacząc się, iż mamy loteryję krajową. Chwali mu się bardzo ta wstrzeźliwość; ciekawi tylko jesteśmy nazwiska tego wyjątkowego kolektora?... a „Dziennik Łódzki” go nie podaje. Pragniemy jednak wierzyć.

— **Kilku mieszkańców Łodzi** — jak pisze „Dziennik” — zakłada w Tomaszowie fabrykę proszku do gaszenia ognia wynalazku Laubera z Pabjanic. Prawdopodobnie i w Łodzi myśli ktoś o czemś podobnym, gdyż niejaki Stetner, inny wynalazca podobnego proszku, od kilku miesięcy bez przerwy bawi w Łodzi.

— **Z Ciechocinka** donoszą nam, że pierwszy sezon kuracji zaledwie 500 osób przybyłych na kurację — obecnie, podczas drugiego sezonu, bawi 900 osób; lat zaś poprzednich zjeżdżało się tam bez porównania więcej osób. Większa też połowa mieszkań świeci pustkami; mimo to cena ich jest niestaloną i znaczna część właścicieli domów korzysta z nieświadomości przyjezdnych i nielitościwie ich eksploatuje. Wynajęcie pojedynczego pokoju podczas obecnego sezonu kosztuje od 18 do 30 rs.; zaś za dwa pokoje płaci się od 35 do 50 rs., kiedy w okolicach kościoła i zakładu kąpielowego za takie same mieszkania żądają aż po 120 rs! Mało tego, bo w jednym i tym samym domu za takie same pojedyncze pokoje, płaci jeden 13, drugi 35 rs. z lichą w dodatku obsługą! Naturalnie, że sztuka ta raz się tylko udać może, i każdy, nieświadomy rzeczy przybysz, na przyszłość wynajmie najprzód numer w hotelu, a potem wyszuka sobie mieszkanie na odpowiednią cenę. Manipulacja ta kosztować będzie rs. 2 z kopiejkami; taka bowiem jest cena numeru na dobę, w sławetnym Millerskim hotelu!

Co jest jednak nie do darowania — to niemiecka orkiestra p-a Wächtera. Jak mogą zebrani goście poprzesztawać tylko na sarkaniu — nie rozumiemy! Dlaczego wyraźnie nie żądają usunięcia niemieckiej kapeli?... Toż przecie korony by im z głów nie spadały, gdyby nie słyszeli żadnej muzyki, jeśli oprócz p. Wächtera, niema innego. Toż przecie niemieckiej muzyki mamy i tak pełne uszy — slychać ją od Renu, aż do Wisły!...

— **Z Nowego-Miasta** nad rzeką Pilicą, otrzymując dosyć częste listy, pozytujują sobie za obowiązek z danego materiału korzystać, i podać kilka wiadomości nieobojętnych, jak sądzę, dla czytelników.

W r. b. wczesniej i liczniej niż kiedyś — dziej, zaczęli się chorzy i szukający świeżego powietrza zjeżdżać. Było ich dosyć sporo w maju, więcej w czerwcu, a najwięcej w lipcu. Z ostatnich listów, otrzymanych przed tygodniem, wiem, że w owym czasie liczono przybyłych na półtora sta z górą osób; w połowie jednak b. m. zamierza znaczna liczba wracać do domów po odbytej kuracji, a na jej miejsce zjeżdżają się nowi. Towarzystwo jak zwykle mieszane. Są tu kuracyjusze różnych stanów i wyznań, z bliższych i dalszych stron, jakoto: z Królestwa, a głównie z Warszawy, wreszcie z Litwy, Wilna i Odesy.

Jakkolwiek był czas deszczów przeszkadzających kuracji, od początku jednak żniw, które tam idą pomyślnie, pogoda jest dosyć

ustaloną. Kuracyjusze używają przechadzek pojedynczo i gromadnie — robiąc wycieczki pieszo do lasu z towarzyszącą im orkiestrą wojskową, gdzie odbywają się różne gry i wieczorem puszczają rakiety. Co niedziela bywają reuniony; 1-go sierpnia powtórzył się teatr amatorski, po którym była większa zabawa tańcząca z celem dobroczynnym, na którą wiele osób ze wsi okolicznych się zjechało, a uproszone damy zajmowały się sprzedażą kwiatów i cukrów; bawiono się też ochoczo i harmonijnie. W końcu lipca przybyło z Rawy nieliczne towarzystwo dramatyczne i daje od czasu do czasu przedstawienia.

Miejscowa poczta z telegrafem, pozwala szybko się porozumiewać przyjezdnym ze swemi rodzinami, a gazety i pisma przynoszą codziennie wiadomości z kraju i ze świata. Lekcje gimnastyki, bilardy i inne zabawy towarzyskie, jak gra w serso i t. p., utrzymują w ruchu odpowiednim; kuracja zaś systematyczna, kąpiele, picie rozmaitych wód mineralnych, używanie świeżego mleka w krowiarni, wybornej wody zdrojowej, elektryczność, masaże i inne środki lecznicze, w miejscu z natury pięknem, ożywionem parkami, obszernemi polami, łąkami, balsamicznym powiewem lasów i uprzyjemnionym widokiem kilkomilowym na okolicę — wszystko to musi dobrze wpływać na uzdrowienie i pokrzepienie sił osób leczących się, lub używających wypoczynku i świeżego powietrza.

— **Wyciągi w Pławnie** pod Radomskiem odbędą się 31 b. m. i 1 września. Gonitw będzie jedenaście.

Program pierwszego dnia: Nagroda 600 rs. dla ogierów i klaczy 3 i 4 letnich, bieg 1½ wiorst. Najlepszy koń otrzymuje przytem premium 100 rubli. Nagroda „Puhar srebrny” dla koni dwuletnich, bieg 1 wiorsta. Nagroda głównego zarządu stad rządowych dla koni wszelkiego wieku, bieg 2 wiorst. Bieg czwarty nagroda 200 rubli dystans 3 wiorsty. Bieg piąty, cztery wiorsty, nagroda 300 rubli i Steeple-chase „Pławieński” 600., bieg 3 i pół wiorsty, 12 przeszkód.

W drugim dniu odbędą się następujące gonitwy: Nagroda towarzystwa „Causolator” rs. 150 Hurdle-race, nagroda dam. Nagroda rubli 200 ofiarowane przez Wł Wodzyńskiego, konie dwuletnie, bieg 1 w. Nagroda 500 rubli „Steeple-chasse 3 wiorst 250 sążni, ośm przeszkód. Nagroda imienia Augusta Ostrowskiego 300 rubli, bieg płaski, sześć wiorst.

Konkurs klaczy roboczych i źrebiąt odbędzie się rano, w drugim dniu gonitw. Nagrody następujące: Dla najlepszej klaczy fornalskiej swego chowu 50 rubli, dla czterech następnych po 25 rubli. Najlepsze źrebie roczne po klaczach fornalskich swego go chowu otrzymuje 50 rs., cztery następne po 25 rs. Dla źrebiąt z 1885 r. nagroda 140 od głównego zarządu stad rządowych, oraz nagroda 150 rs. dla klaczy roboczych od 4 do 6 lat skończonych, a należących do chodowców drobnej własności ziemskiej.

— **Zjazd w Lubochenku.** Według doniesienia „Kraju”, w pierwszych dniach września ma przybyć do Lubochenka, niedawno zbudowanej letniej rezydencji dworskiej w księstwie łowickim, arcyksiążę Rudolf i arcyksiężna Stefaniya i zabawić dzień jeden lub dwa. Równocześnie przybędzie także do Lubochenku ks. Wilhelm pruski, wnuk cesarza Wilhelma. Dotychczas zameldowano z orszaku austriackiego 35 osób. Świta ks. Wilhelma składać się będzie z 7 osób. Margrabia Wielopolski, jako administrator Księstwa łowickiego, zajęty jest obecnie przygotowaniem w Lubochenku. Wszelkie pogłoski o trójcesarskim zjeździe są pozbawione podstawy.

Szczyt fałszu i arrogancyi!

Przeczytajcie, szanowni czytelnicy, poniższy wyjątek z „Łódzkiej Zeitung”, aby mieć dokładne wyobrażenie, jak się piszą przez Niemców śmiało, dwuznaczne artykuły, w których mówi się o potęgę wielkiej ojczyzny i obrońców skrzydła dwugłowego orła, myśiąc o niemieckim wszechświatowym państwie i o pruskim dwugłowym orle! Wyjątek rzeczony jest polemiką Łódzkiej z „Dziennikiem Łódzkim” i brzmi jak następuje:

„Dziennik Łódzki” z prawdziwie dziecianną naiwnością oznajmia, że uważa nasz organ za szkodliwy, a istnienie jego za rzecz, która w jego kraju wywołuje zgorzelenie. Cześć godna redakcyi „Dziennika Łódzkiego”! co rozumiesz właściwie pod swoim krajem? Lwów, albo może Poznań? Przecież chyba nie naszą ojczyznę, Rosyję, której synami jesteśmy, której synami byli nasi rodzice i przodkowie (?) i której oddani jesteśmy z niezmienną miłością i wiernością, bądź to znajdując się na północnych, bądź na południowych lub zachodnich jej krańcach, gdzie czujemy się w sobie w domu, jak tylko daleko dwugłowy orzeł rozpościera potężne swe skrzydła nad swoim dziedzictwem...

„Dziennik Łódzki” powiada dla uzasadnienia szkodliwości naszej gazety, że jest ona szkodliwą krajowi już przez to samo, iż drukuje się po niemiecku, ponieważ przeszkadza nowym przybyszom obznajmianiu się z językiem państwowym i miejscowym. I z państwowym także? Może „Dziennik Łódzki” myśli, że jego język jest językiem państwowym (?)

„Jako najlepszy dowód przeciwko mniemaniu „Dziennika Łódzkiego”, iż nasza gazeta jest zupełnie zbyteczna dla zaspokojenia literackich potrzeb mieszkańców Łodzi, przypominamy rosnącą codziennie liczbę naszych czytelników.

„Nie dziwi nas zbytnio, że „Dziennikowi Łódzkiemu” jest solą w oku istnienie i prosperowanie „Łódzkiej Zeitung” reprezentującej tutejsze interesy od lat 23 i służącej do publikowania wszystkich urzędowych ogłoszeń. Być może że rada, abyśmy „Łódzkiej Zeitung” zaprzestali wydawać, jest nam niezłona seryja; tymczasem jednak żałujemy, iż nie mamy żadnego powodu do jej usłuchania.

„Rada — za radę! Dajemy więc „Dziennikowi Łódzkiemu” radę, żeby kierując się świadomością istotnego stanu rzeczy i uznaniem praw nabytych, spokojnie i z umiarkowaniem współdziałał dalszemu rozwojowi miasta i wszystkich jego instytucyj, i żeby zaprzestał ciągłego wymyślania osiadłym tu, prawom krajowym postasznym i przez też prawa bronionym niemcom — a niewątpliwie lepiej będzie służył interesom ogółu niż dotychczas (!).

Korespondencyje „Tygodnia.”

Z Sosnowca, 4 sierpnia.

Wilki w lisiej skórze. — Nie 300, ale 500. — Szkoła. — Minowski. — Fora ze dworala!

Checielibyście się niezawodnie, szanowni czytelnicy, dowiedzieć, co zamierza uczynić komisya petersburska rewidująca tutejsze fabryki? Żałuję mocno, ale zadość waszym zyczeniu uczynić nie mogę, ponieważ zbiera ona tylko dotąd bardzo liczne dane i przygląda się bacznie niemieckiemu na polskiej ziemi gospodarstwu. Daj Boże, żeby z tej maki były jak najprędzej pożywne kołaczki. Bowiem po owych sławnych rugach z Poznańskiego, niemcy, mieszkający w Sosnowcu, bojąc się, by ich ten sam los nie spotkał, hurmem rzucili się do przyjmowania rosyjskiego poddaństwa i obecnie większa ich część została tutejszymi poddanymi, co jest jeszcze gorszem dla nas, — a dlaczego, to wiecie, boście wszyscy czytali o tak zwanem „podwójnem poddaństwie” wymyślonem przez Bismarka, na podstawie którego każdy taki nowy poddany rosyjski jest jednocześnie poddanym niemieckim, czyli wiernym obywatelem obu państw (!) A ponieważ dwóm panom nikt wiernie służyć nie może, przeto jednego musi zdradzać. Że zaś żaden Niemiec, nie zdradzi swego Vaterlandu — a nawet nie podobna tego od niego wymagać — przeto rzecz pewna, jak dwa razy dwa cztery, względem kogo musi on być zdrajcą. Zanim więc przyjdzie do zdrady, należałoby mu skrepić rękę i nogi, żeby się nie mógł ruszyć!.. Jest to wilk w lisiej skórze.

„Ale dajmy pokój „ruskim niemcom”, którzy dotąd przynajmniej ani rosyjanom ani polakom w kaszę sobie dmuchać nie dają. Przyglądają się oni z lubością, jak jeszcze obecnie katowiccy *schutzmani* dostarczają tutejszej komorze w dosyć znacz-

nej ilości towaru bez cła, składającego się z wydalanych rosyjskich (poddanych, których dotąd nie 300, jak donosiliście ale 500, przerzucono przez tutejszą granicę do guberni piotrkowskiej.

Sosnowicka prywatna szkoła, ku ogólnej szkodzi, została zniesiona. Kraży za to pocieszająca pogłoska o mającym powstać w Sosnowcu gimnazjum. Mówię pogłoska, bo chociaż szanowni korespondenci różnych pism mówią o tem, jako o rzeczy pewnej, jest ona nader daleką rzeczywistością. Dziwię się bardzo, że szanowni korespondenci wytykając sobie wzajemnie niedokładność podawania niektórych faktów, piszą takie bezzasadne wiadomości. Znacznie prawdopodobniejszą, a nawet bliższą rzeczywistości, jest wiadomość o wystawieniu na deskach tutejszego teatru konkursowej komedii „Minowski”.

Dnia 3-go b. m. obchodzono u nas uroczystość imienia Najjaśniejszej Pani. W miejscowym, świetnie iluminowanym ogrodzie, produkowała się miejscowa orkiestra, która, jak się okazuje, pod każdym względem przewyższa katowicką. Podczas pauz, śpiewał chór orlezyków, wprawdzie nieszczególnie, ale bo też nie ma on żadnych pretensyj do dobrego śpiewu, jak chór katowicki. Ten ostatni, w nadziei, że mu pozwolą popisować się, zjawiał się także; ale nie udało się tym razem Niemcom, bo niedopuszczeni do znieważenia swą obecnością wzmiankowanej uroczystości, pokłękali się po ogrodzie z bardzo kwaśnymi minami, i wynieśli się jak niepyszni. *Algi.*

Tuszyn, d. 4 sierpnia.

W № 31 „Tygodnia” pomieściła Szanowna Redakcja korespondencyjną z Tuszyń, której autor pobożnie utyskuje nad samymi ujemnymi stronami tej osady, a między innymi rozprawia o projekcie rozszerzenia kościoła i o niedyplomatycznym, bo w czasie przednowku, zgromadzeniu zebrania parafjalnego do uchwalenia odpowiednich funduszów; dalej mówi o jakiejś wgardzie wdowiego grosza, a żąda o jakichś gromach i klątwach publicznych. W końcu, żeby zaproduktować kwiecistość stylu, z werwą prawi o dwóch świnkach na cmentarzu grzebalnym, obgryzających kosteczki nieboszczyka i niby zdziwionych, gdy je osobicie korespondent chciał ztamtąd wystraszyć. Naturalnie korespondent pisze tak okropne rzeczy, aby niedbalych pobudzić choćby do jakiejś takiej gorliwości — i z głęboką pobożnością wzywa Boga o łaskę dla nich, stawiając przetem dla zachęty przykład sławnego księdza Baudouina.

Zdaje się, że w całej tej korespondencji chciał autor zamantestować tylko samego siebie, bo nie znając rzeczy, szeroko się o niej rozpisal. Opowiadanie publicznie tej sprawy najlepiej ją wyjaśni.

Roku ubiegłego przybył do Tuszyń inżynier-technik powiatowy, oświadczając, iż z rozporządzenia władzy zbiera wiadomości o mających się przedsiębrać budowlach lub reparacjach budynków publicznych w miejscowościach będących własnością rządową. Wówczas to oświadczyłem mu, że byłoby pożądanem rozszerzenie kościoła w Tuszyń, ale trudno obecnie o tem myśleć, z przyczyny ogólnej biedy.

Korzystając przeciw z jego uprzejmości, urosilem o sporządzenie projektu i anszłangu, co też z całą chęcią i bezinteresownością uczynił. Podług anszłangu, koszta rozszerzenia kościoła i otoczenia go z dwóch stron boeznych murem, a ze stron frontowych sztachetami żelaznymi na wysokim podmurowaniu, wyniosłyby rs. 9,250.

Zakomunikowałem tę wiadomość dozrowi kościoła i roztropniejszym parafjanom. Projektowi przyklaśnięto — zgromadzono się na uchwałę parafjalną — i tu dopiero, jak to zwykle bywa, zaczęły się sypać nowe projekta rozszerzenia kościoła i rozkładu

podatku, bądź to z morgi, bądź to z głowy: jeden krzyczy, że pięć kopiejek z morgi powinno wystarczyć, drugi woła 10, inny 30, zapominając, że wykazana suma anszłangiem, który za podstawę wzięto, podzielona przez ogólną liczbę morg, miała obciążyć każdą morgę kop. 75. Znalezli się tacy, lubo w małej liczbie, co wrecz oświadczyli, że tego nie potrzeba, gdyż kościół jest wystarczający. Biedny wójt gminy, przydujący jednocześnie w dozorze, oraz jeden z obywateli, w skutek wysilonia w przymówieniach swych, chrypki dostali ale nie to nie pomogło.

Sądzę, że w takich razach, najlepiej zostawić czasowi przetrwanie i rozważenie na zimno rzuconego projektu. Dobrze też zrobili zapewne ci, których korespondent rozgniewanemi bogami Olimpu nazywa, że odeszli, nie chcąc do końca uczestniczyć w zgiełku, bo wiedzieli dobrze, że czy prędzej czy później, projekt urzeczywistnionym będzie z pewnością. I zaprawdę, gdy przyjdzie ten czas, nie deklamacyjną, lecz czynem zrobią o wiele więcej dla tej sprawy, aniżeli szanowny korespondent, bo już dali tego dowody. Mogłby też i autor korespondencji coś dla niej uczynić, boć on przednowku w Tuszyń nie zaznał...

Owe zaś świnki cmentarne obgryzające kostki nieboszczyków, któremi się z taką przyjemnością zajmuje, są niezmiernie śmiałą improwizacją pana korespondenta. Dzięki Bogu, tak jeszcze źle nie jest; chociażby bowiem cmentarz nie był ogrodzony (co jest nieprawdą), chociażby ciała zmarłych na powierzchni ziemi były rzucane, choćby nie istniały prawa policyjno sądowe — to lud nasz tyle ma poszanowania dla tych miejsc poświęconych boleścią i łzami, że ich za miejsce pastwiska dla świnek nie obiera. Widać więc, że tylko dla większego efektu w poetycznym uniesieniu znalazł autor korespondencji ową sensacyjną historię.

Zapewne też wrodzona (!) skromność była przyczyną, że mówiąc o wyborze sędziego, o agitacjach niepowołanych, o zdrowym rozumie chłopskim, który wdzięczny za pocziwą obsługę dziesięciu lat, dawnemu sędziemu dał głosy, nie nie wspomniał o sławie Tuszyńskiego sądu. A jednak należało to zrobić; bowiem gdy przyjdą dnie na sądy oznaczone, ze wschodu i zachodu, z południa i północy jada i idą tu, jakby na odpust jaki, szczególnie mieszkańcy miasta Łodzi, którzy nie mogą znaleźć wymiaru sprawiedliwości u siebie, szukają jej w Tuszyń. Czy uwierzycie, że sąd tuszyński po 80, literalnie po osmdziesiąt spraw dziennie załatwia i wyroki wydaje, a głównym i prawie jedynym czynnikiem takiej działalności jest pan pisarz sądowy...

Stawa też sąsiednich sądów wobec tuszyńskiego błędnie. Tu we wszystkie środy i czwartki z klientami przybywają adwokaci przysięgli i nieprzysięgli, żydki, poręczyciele fikcyjni, i znaczna liczba pokatnych doradców, a miasteczko, zwykle spokojne, przybiera obraz małego jarmarku.

Ciekawa rzecz, dlaczego inne sądy tak straszny ciężar pracy zwalają na sąd tuszyński, nie przyjmując spraw mieszkańców miasta Łodzi, których przedmiotem spornym są głównie weksle... Zagadka ta może by się dała rozwiązać...

Ksiądz Motylewski Proboszcz.

Arystokratyzm etnograficzny.

P. Baudouin de Courtenay, wychowaniec b. Szkoły Głównej Warszawskiej, profesor uniwersytetu dorpackiego, znany w świecie naukowym lingwista, wydał niedawno broszurę, w której ocenia teorię słynnego Duchńskiego i stanowisko jego jako etnografa i polityka. Streszczenie broszury tej podała między innymi i „Gaz. Radomska.” Wiadomo, że Duchński, uniesiony uczuciem patryjotyzmu, stworzył dziwną te-

orię arystokratyzmu etnograficznego. Duchem jej jest „aryjofilstwo,” t. j. miłość rasy aryjskiej. Rasa ta ma być wyższą cywilizacyjnie od innych, „turańskiej,” „mongolskiej.” Antropologicznie, przyrodniczo, zdolną ona jest do życia osiadłego, miejskiego, swobody politycznej i odznacza się miłością bratnią. Rasę zaś mongolską natura odsadziła od powyższych właściwości, a obdarzyła natomiast skłonnością do koczownictwa i silnej formy rządu. Aryjczycy są szlachetni, turańczycy nizecy; jednych czeka przyszłość świetna, drugich — zagłada lub wieczna doła paryjasów. W skład pierwszych wchodzi szczepy słowiański, romański i germański; drugich reprezentują czereemis, kałmuki, finny, meszczeriaki, mordwa, jakuty itp. Te rasy mieszkają razem, w Europie, o miedzę od siebie.

Trzeba być cokolwiek obeznanym z nowoczesną etnografią przyrodniczą, z naukami społecznymi i psychologią rozwojową, żeby na tę teorię bzdurną ramionami wzruszyć, a jej twórcę wzrokiem politowania obrzucić. Rozdymany żalem po upadku rzeczywistej szlacheckiej, nie potrafił Duchński wynaleźć słuszniejszej racji bytu swego narodu (choć miał ją pod ręką w prawach człowieka), nad zasadę wyższości rasowej. Oddzielił więc świat aryjski od turańskiego Dnieprem i Dźwiną, przyznawszy tym sposobem nie tylko pobratymczym wielkorosom, lecz znacznej części białorusów i matorosów aryjskich, atrybuty niższej rasy! Broszurkę swą prof. Baudouin de Courtenay poświęca właśnie wykazaniu nieości rozumowania owego, jak również dowiedzeniu, że jest ono niemoralne i wyzute z trzeźwości politycznej. — Przypisaną przez Duchńskiego wielkorosom skłonność do koczowania, obala użyciem metody porównawczej i zastosowaniem do zjawiska wędrówek ludowych — prawd socjologicznych. Wykazuje, że meszczeriaki, czereemis, mordwa itp. „plemiona turańskie” (mongolskie) zdradzają większe przywiązanie do miejsc rodzinnych, niż np. cygani „aryjscy” wędrujący dla przyjemności. Jeśli zaś lud wielkoroski zmienia siedziby, to robi to pod naciskiem ciężkich warunków ekonomicznych, czego znów lud polski i litewski w mniejszym stopniu doznaje. Świat zaś aryjski (Anglija i Niemcy) zaludniał i zaludnia ciągle dziećmi swemi obszary Ameryki i Australii. Wędrowność tedy ludów leży nie w rasie, lecz w ustroju ekonomicznym, na którego łonie żyć one muszą. Drugi atrybut aryjski, miasta, których słaby rozwój u wielkorosów ma dowodzić ich pochodzenia turańskiego, okazuje się również nieprawdą pod skalpelem zdelnego lingwisty. Ten sam los spotyka trzecią cechę wielkorosów, kwalifikującą ich na rasę turańską, mianowicie forma absolutna rządu. Słusznie prof. Baudouin de Courtenay przypomina etnografowi fakty z dziejów państw zachodnio-europejskich i po wątpiewa o doskonałości parlamentaryzmu aryjskiego. Od siebie zaś dodałbym, że zjawisko absolutyzmu w życiu państwowym i koczowniczość nigdy nie bywają w parze u jednego i tego samego ludu, bo z istoty swej wzajem się wykluczają. Przyznana aryjczykom „rodzima miłość bratnia” pryska, jak bańka mydlana, wobec zaciętej walki klasowej u nich, wyzysku kapitalistycznego, tępienia doszczętnego całych ras w ziemiach kolonizowanych, wobec dni czercwowych Napoleona III, projektów antypolskich w „gadalni” pruskiej i w obliczu wielu innych zacnych czynów polityki wewnętrznej i międzynarodowej! Komunistyczna własność, istniejąca u chłopów wielkoroskiego w stanie szczerkowym wspólnego władania, nie jest również rasową cechą, lecz pewnym stadyjum rozwoju, przez które i aryjczycy przechodzili; u plemion zaś mongolskich (u czereemisów, mordwy itp.) nie daje się odnaleźć wcale. Inny znów dowód niesłowiańskości wielkorosów,

mniemana niesamородność ich mowy, również pierzchnął przed krytyką lingwisty.

Tak wygląda logiczność Duchinińskiego.

Niemoralność jego teorii tkwi w tem, że sieje wyobrażenie wyższości jednej rasy nad drugą. Pod względem politycznym działała ona także ujemnie na proces wytrzeźwienia. W tem miejscu zdaje się przeceniać szanowny lingwista doniosłość wpływu idei Duchinińskiego na naszą umysłowość, ze względu na udział onej w wydarzeniach krajowych przed 23 laty. Te ostatnie gniewają go za los prac Wielopolskiego. Gniewać się można i na prawo ciężkości i na prawa zjawisk elektrycznych, lecz uczonej musi je tylko badać i wyjaśniać... Tak właśnie postąpił, do pewnego stopnia, p. Spasowicz (którego przekonania polityczne zdaje się dzielić profesor) gdy pisał „Życiorys Wielopolskiego.”

Słusznie jednak szanowny autor przeprowadza paralelę pomiędzy „aryofilstwem” Duchinińskiego i „słowianofilstwem” Aksakowów, Katkowów i spółki. Trafna jest również jego uwaga, że ten ostatni kierunek może być łatwo dotykane popartym... Sumując wszystko, pan Baudouin de Courtenay kończy ogólnym wnioskiem, że jubileusz Duchinińskiego był jubileuszem chronicznych błędów naszych. Broszurę odznacza ton publicystyczny.

ROZMAITOŚCI.

— **Odpowiedź francuzka.** Fabrykant maszyn do szycia, p. Dietrich z Altenburga, który niedawno rozesłał do Francji swoje okólniki, otrzymał jeden z nich z Paryża zaopatrzony w dopisek: „Rendez nous nos cinq milliards, tas de voleurs! (Oddajcie nam nasze pięć miliardów, złodziej!”)

— **Niemcy w królestwie.** Kronikarz „Grażdanina” otrzymał list z Warszawy, podpisany: „Ruskiej poddamy blagozetatiel Rossii”. Autor listu uskarża się, że Warszawa obecnie jest zalana prusakami, którzy, występując pod postacią robotników, subiektów handlowych, nadzorców i agentów, jednocześnie badają Warszawę pod każdym względem, notując skrzętnie spostrzeżenia swoje w specjalnych książeczkach. Według zapewnień korespondenta, wszyscy ci prusacy, przeważnie robotnicy towarzystwa wodociągów, należą do landweru, a było już kilka wypadków, że aresztowano ich za ciekawość, posuniętą zbyt daleko, chociaż wstawieniem konsula niemieckiego i innych wpływowych rodaków zawsze okazywało się skutecznym. Treść tego listu nastrocza kronikarzowi kilka uwag. „Po powstaniu — powiada

on — polityka rusyfikacji z niepospolitym dowieciem chwyciła się trzech środków: 1) presji na większą własność ziemską; 2) folgowania żydom; i 3) osiedlenia poddanych pruskich.

Czy zamierzony skutek został osiągnięty, to kwestya dla „Grażdanina”; ale że Królestwo Polskie stało się lupem niemca — o tem wiedzą wszyscy. Rosyjanie są tak względni dla prusaków, że „nawet względem podejrzanych poddanych pruskich nie pozwolą sobie tego, co bez skrupułu praktykują prusacy względem rosyjan, bynajmniej nie podejrzanych: areszt i heraus!” („Kraj”)

— **Arrogancja pruska.** Na zapowiedziane przyjęcie w Karlsruhe, z zamku w księstwa Badeńskiego, komenderujący tamże pruski generał Werder nakazał oficerom wystąpić w gali po służbie. Książę przejeżdżając przed frontem, spostrzegł znajomego sobie oficera i zaprosił go z sobą do zamku. Oficer tłumaczył się, że jest na służbie, książę jednak oświadczył mu na to: „Jesteś pan moim gościem”

Generał, spostrzegłszy później oficera, zgromił go za niesubordynację. Ten powołał się na księcia, a gdy książę oznajmił, że oficer jest jego „gościem osobistym” generał odparł szorstko: „Ja tutaj, a nie Wasza ks. Mość, komendujący wojskiem!”

— Ja zaś tu jestem panem! odparł książę, odwracając się od Werdera.

— **Niemiec fiasco!** W jesieni r. z. odbywały się pod Petersburgiem próby olbrzymich kół działowych, stożkowych, z których każda waży przeszło 800 funtów, używanych do przebijania panczerzy okrętowych. Do konkursu stanął Krupp z Essenu i francuzka firma St-Chamond. Poeci też firmy St-Chamond wzięły górę nad kruppowskimi, i tylko na prośbę Kruppa naznaczono nową próbę po upływie czterech miesięcy, dając tem samem czas niemieckiej firmie do postarania się o lepsze wykonanie naboju. Powtórna próba odbyła się właśnie przed kilku tygodniami na poligonie artyleryjskim pod Petersburgiem, w obecności W-go Ks. Michała Mikołajewicza. Słynny aż dotychczas Krupp dał dwa strzały i wycofał się z konkursu, ponieważ kule z jego warsztatów, przy uderzeniu o blachę pancerną, rozpryskiwały się w tysiączne kawałki. Natomiast, pierwszy pocisk firmy St-Chamond zrobił w pancerną znaczną wklęsłość i wyszedł cało; drugi zaś przebił na wylot pancierz i rozpękł się na dwoje. Tak świetny popis wywołał zamówienie przez rząd rosyjski u firmy St-Chamond 90,000 pudów rzeczonych pocisków za 1,980,000 rub., czyli po 22 ruble za pud. Postawiono wszakże warunek, aby zamówienie było wykonane bezwarunkowo w obrębie Rosyi, nie zaś za granicą. Podobno już pewne fabryki rosyjskie porozumiewają się z reprezentantem firmy zwycięzkiej, co do wykonania w ich warsztatach tego obstarłunku.

— **Sensacyjny konkurs.** Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu w Warszawie ogłasza konkurs na premjum wynoszące 900 rs. za najlepsze dzieło: „O wytopieniu przez Niemców słowian osiadłych nad brzegami: Elby, Odry, Wisły i morza Bałtyckiego” Wszystkie gazety rosyjskie powtórzyły z pewnem upodobaniem tę wiadomość, chociaż fakultet, rozpisujący konkurs dalekiem był zapewne od wszelkiej myśli politycznej.

— **Dymisyja p. Risticza.** Na mocy Najwyższego rozkazu z dnia 19 (31) czerwca r. b. ogłoszono w „Praw. Wiest.” że porucznik Aleksandryjskiego pułku dragonów Risticz, który miał głośny pojedynek z jednym z obywateli Królestwa, uwolniony został od służby z powodu interesów domowych.

— **Korespondent „Kölnische Zeitung.”** przytacza ustęp z prywatnego listu przyjaciela, który niejednokrotnie podróżował już po Bułgarii, poznał w różnych czasach kraju tego stosunki i na zasadzie doznanych wrażeń, powróciwszy do Carogrodu, następująca wydał opinię „Jestem teraz przekonany, że bułgarzy mają przyszłość przed sobą. Ani kawałka ziemi nie widziałem, któryby leżał odłogiem; a jedyny pod tym względem wyjątek stanowi okolica warneńska. Budowy przedsięwzięte, odpowiadają wszelkim potrzebom i wymaganiom. Na przestizeni pomiędzy Szypką a Ruszozukiem nie było mostu wykonanego nietrwale i nie wzorowo takie samo wrażenie sprawiły na mnie budynki rządowe. Ruszozuku poznać nie można. Lud jest pracowity, a żołnierz z pewną dumą stąpa w swoim uniformie i nie włączając swej godności, dla każdego jest grzeczny i uprzejmy.”

— **Nowy welocyped.** Mechanik jednego z młynów parowych w Królestwie Polskiem, nadesłał Towarzystwu popierania przemysłu i handlu model wynalezionego przez siebie welocypedu. Welocyped ten może pomieścić 10 osób, i według obliczeń wynalazcy przebiegać ma 7 mil na godzinę.

Licytacje w obrębie gubernii.

— 29 września (11 października) w sądzie okręgowym piotrkowskim na sprzedaż dóbr Kostrzyce w powiecie łaskim od rs. 9800.

— 6 (18) listopada w tymże sądzie okręgowym na sprzedaż dóbr Garnek w powiecie noworadomskim oszacowanych na rs. 277380.

— tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż dóbr Chrzanowice w powiecie noworadomskim, oszacowanych na rs. 35000.

— tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż dóbr Sadówka A. B. w powiecie brzezińskim, od rs. 14000.

— tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż nieruchomości w osadzie Nowe-Baluty pod № 44 w powiecie łódzkim położonej, od rs. 1500.

— tegoż dnia i w tymże sądzie, na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi przy ul. Wolczańskiej pod № 795-cc. położonej od rs. 1200.

— 18 (30) sierpnia w biurze p-tu rawskiego na wydzierżawienie dochodu z bydłobójni w m. Rawie od rs. 1091 kop. 60.

— 5 sierpnia w biurze p-tu łódzkiego, na wydzierżawienie propinacji na gruntach włocijańskich w tymże p-cie.

— 4 (16) sierpnia w rządzie gubernijalnym piotrkowskim na reparację skarbowych budowli wojskowych w miastach tejsze gubernii położonych, a mianowicie: 1) w m. Piotrkowie od sumy anszlagowej rs 1515 k. 7. 2) w m. Częstochowie od sumy rs. 887 k. 14. 3) w m. Zgierzu od sumy rs. 321 k. 41. 4) w m. Noworadomsku od sumy rs. 455 k. 42.

O G Ł O S Z E N I A.

Ubezpieczenia życiowe

1) **Ubezpieczenia na wypadek śmierci** (zabezpieczenie bytu rodziny).

2) **Ubezpieczenia na dożycie** (zabezpieczenie starości, posagów dla córek, etc.)

3) **Ubezpieczenia rent** (dochód na podszkiele lata, dochód dla wdów, stypendya dla chłopców, etc.)

Bliższe szczegóły zawierają się w 3-ech oddzielnych broszurach **Towarzystwa Ubezpieczeń „Rosyja”** które na żądanie wydaje i rozsyła bezpłatnie Zarząd Towarzystwa w Petersburgu (Wielka Morska № 13), **Generalna Reprezentacja w Warszawie** (Marszałkowska № 144) oraz agentury Towarzystwa znajdujące się we wszystkich miastach Cesarstwa i Królestwa Polskiego.

W r. 1885. Towarzystwo Ubezpieczeń „Rosyja” zawarło 5,767 nowych ubezpieczeń życiowych na sumę

Rs. 16,376,290.

Dywidenda dla ubezpieczonych wynosi na 1886 r. 12%.

(R. i Fr.) № 7730.

(6—3)

OSOBY

posiadające liczną klientelę mogą mieć dochód pobrany z agentur handlowych. Oferty pod № 7735, adresować do **Rudolfa Mosse w Wrocławiu.**

(R. i Fr. № 7791)

(3—2)

Skład Węgli

Włodzimierza Sapińskiego
(Róg alei Aleksandryjskiej)

Ceny

Korzec węgla kamiennych grubych 240 zł. 85 k.

Korzec węgla kamiennych grubych na skrzynie 10 korcowe zamknięte (przez Magistrat Warszawski ostemplowane) 83 k.

Pud koksu (korzec 4 pudy) 25 k.

Korzec węgla drzewnych 1 rs.

Uwaga. Na miasto rozsyła się w koszach półkorcowych wagi 130 zł. (13—2)

Włodzimierza Sapińskiego

Wynajem Pojazdów

Dom W-go Adama Gołembowskiego wprost Poczty

Karety, Powozy, Bryki, Konie.

Tramwaj do kąpieli i na spacer.

(13—2)

Dr. Michałowski

wrócił do „Petrokowa.”

(4—1)

OLEJARNIA KONNA

do wydzierżawienia zaraz, przy kolei żelaznej pod „Petrokowem.” Wiadomość bliższa w Składzie Aptecznym W-go J. Żarskiego w „Petrokowie.” (2—1).

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 3 powieści p. t. „Sława”.

Redaktor i wydawca **Mirosław Dobrzański.**

W drukarni **E. Pańskiego** w Petrokowie.

stajem o moim nowym pałyjenie. Według tego, co mi ojciec przed podaniem opowiadał o swym jedynaku, był on zjawiskiem ciekawym, mianowicie tu nas. Skończył w Gesebach nauki gimnazyjalne, nawet uczęszczał na wyższe kursa, ale studjów nie dokonał; przysłał mu jakieś "dziwne rzeczy do głowy" — przestał się uczyć, trochę chorował, wrzeszcze wrócił

do Metodyjówki, a w drodze myślałem o moim opowiadaniu. Znalazłem w jakimś niemieckim mieście słowo, będzie się panu zdawało, że się przypadkiem obronił i czytałość; zdrowi męczyzn, hoże dżiewczeta; szkoła, schłodne i przyjemne domki z gęstą i belek, ka pięknym osad niemieckich: murywany kosciół, Fjódz pan pp. do gubernii tybalskiej i obejrzy tam klimat do dobre powodzi. Ziemia piękna, trawy obfite, tu się do natury kraj, zeskieniu osadnictwu mogło się dochozić wieści, dla wielu były zabójcze, jednakże są odległość od kraju, móstwo zdydostwa, mało stosunków dla ezechów niewłaściwy, poniekąd niezdrowy. Przytem i chowu była. Sprzedaj bardzo trudna. Klimat tu nie, trzeba tu dogładać tytanu, kukurydzy, winnic wet czasem pszenica, ale głownie, według mego zdania. Rosnie i tu, co prawda, żyto i jęczmień, a nawem — przybysze nie mogli tu gospodarować po swojemu — przybysze odznaczyła się bardzo słabym napłytem kraj zasiedlił ezechami, ale to się jakoś nie udało. Władymirówka, Pawówka i Barbarówka. Władza tu jeszcze inne osady ezeskie: Kiryówka, Gledówka, tnia może pan ztąd dojrzeć. Oprócz tych, znajdując się na skrajnie dżewczego, pełnego mozarów lasu. Ostatnie stojących z jednej strony u podnóża gór, a z drugiej — Tam sposterzęgiem ten szereg skromnych chat, w którym Rosnie i tu, co prawda, żyto i jęczmień, a nawem — przybysze nie mogli tu gospodarować po swojemu — przybysze odznaczyła się bardzo słabym napłytem kraj zasiedlił ezechami, ale to się jakoś nie udało. Władymirówka, Pawówka i Barbarówka. Władza tu jeszcze inne osady ezeskie: Kiryówka, Gledówka, tnia może pan ztąd dojrzeć. Oprócz tych, znajdując się na skrajnie dżewczego, pełnego mozarów lasu. Ostatnie stojących z jednej strony u podnóża gór, a z drugiej —

— 20 —

niezapisane papiery...
ładzie rozrzucone książki i pisma, pióra, zapisane i bieżni, na stołku przy łóżku i na ziemi, leżały w nie- był w stary, wypłowiały i rozpięty surdut. W zagłębieniu trzej czerwone poduszki, a odziany stał drewniany łóżko było niepomalowane. Pod głową na sienniku, przykryty grubym prześcieradłem — pro- ne, wielkie i jakos blednie w dal wpatrzono. Leżał je czole, zapadłe skronie i policzki. Oczy miał czar- gęste, czarne wlosy, otaczające bezładnie wysoko, bia- odstępcząciami nie były. Bładosc twarzy podnosiła, ale także, że pomimo chorobliwej chudosci i bładosci, cy; twarz ściaga, rysy nieprawiłowe i niepękne, Był to młody człowiek lat około 24, nie mógł pism perypodycznych. Tam znalazłem mego pałyjenta, nem, oblepionym wyjętymi obrazkami z kalendarza i oddzielona była od drugiej niezbyt wysokim parawa- skich — oto całe umebowanie. Jedna część świetlicy poena i kilka jarmarcznych obrazków Świętych Pan- ezysto wymyśli, małe zwierciadko, palma wielka- brze udeptana ziemia. Proste drewniane stoiki i stół składali się z desek i belek, a podługę stanowiła do- mnie do czysto ubielonej, niskiej izdebki. Sufit jej uprzejmie, lecz z widocznym smutkiem wprawdażli szłym wieku i dorodna gospodyni w średnich latach, Rodzice chorego — poważył gospodarz w pode- Z tą myślą jechałem do osady.

obczyzn...
jak to smutno musi być umierać w zaraniu życia, na mogłem wymiarować, cierpiat na chorobę pierśiową. wac, wrzeszcze musiał się polozyc. O ile ze siw oja- go witych rak. Młodzieńiec zaczął znówu chore- towarzysz w tym kraju, gdzie potrzeba silnych i pra- na Kaukaz. Syna wzięli ze sobą. Nie był to dogodny rodzice w ciężkich okolicznościach, tak, iż pizeniesli się kolwiek się polepszyło. Wkrótce potem znalazli się jako nieukończony student do domu. Zdrowie jego co- Z tą myślą jechałem do osady.

— 21 —

swą wonią, gdy się krzew przedemną zaiskrzy rojem świętojańskich robaczek i wygląda jak gorejący krzak Mojżeszowy. Moją poezją jest nasz wicher nadbrzeżny, gdy zrywa się z siłą, łamiącą maszty, a bałwany morskie z jękiem i rykiem biją o brzegi, lasy huczą i jęczą żałośnie!..

Może sądzicie, że mając takie o poezji zdanie, odrzekłem młodemu poecie, iż nie jestem redaktorem i nie mam czasu na rozprawy literackie? Weale nie. Siedziałem milczący i czekałem na dalszy ciąg jego opowiadania. Czulem dlań głębokie współzucie.

— Tak, jestem poetą — powtórzył chory po chwili. — Weale nie jednym z tych marnotrawnych młodzików, którzy się zabawiają składaniem rymów, aby się później pysznić mogli nazwą poety. Jestem poetą prawdziwym, z powołania. Natchnienie zmusza mnie do pisania — czuję i widzę prawie, jak przychodzi, szumi tu, jak morze, w tętnie i płomieniu skroni, tu, na drgających wargach, tu, w odkrytej piersi — całą moją istotę od głowy do stóp jak prąd elektryczny przebiegał

Był promieniejący. Powstał z łoża boleści z głową podniesioną; zdawało się, że członki jego nabrały siły i sprężystości, natura ognia. Oczy świeciły natchnieniem. Pod wyciągniętą wążką brwią, policzki się zlekka zarumieniły, delikatna jego twarz stała się nagle prawie piękną, nawet kaszel go na chwilę opuścił. Był to wybuch duszy.

Usiadł, a odsunawszy poduszki, sięgnął głęboko pod siennik. Drżąc ręką wydobyl ztamtań sporą paczkę zapisanego wierszami papieru, rozłożył ją na krawędzi, a przerzucając zwolna kartki, mowil:

— Oto widzisz pan owoc całego mego życia, prawie że już dojrzały. Po większej części tworzyłem to już tutaj, na Kaukazie — ale w tajemnicy, aby mój dobry ojciec na to wieczne pisanie nie skarzył się. Nikt do- tąd tego nie widział i — prócz pana — przed moją śmiercią nikt nie zobaczy.

— 24 —

dobijamy godnych uznania zasług; a teraz dowiadujemy się, na końcu życia, że nasze bliźni są piętnami hańby i potępienia. Wysoko wykształcone córki nasze wygłaszają, że niewarto, by się człowiek starał o jakąś tam wdzięczność i sławę potomności, mówią, że się wszystko kończy grobem, że są przyszłych pokoleń niema żadnego znaczenia! Powiedz mi Ulano, czy i twoja pierś zatruta takimi poglądami?

Ulana z początku przysłuchiwała się tylko rozmowie; potem rozmarzona pięknoscia górskiej przyrody, prawie nie zwracała uwagi o czem mowa. Nagle zbudzona pytaniem, zebrawszy myśli, odrzekła:

— Co sądzę o sławie?.. Sama dla siebie nie dbałabym o nią. Ale jakże wspaniałym wydaje mi się obraz meża, który walecznością lub mądrością wznosi się po nad nieświadome wyższych celów tłumy i czoło swe opromienia aureolą nieśmiertelności! Jakież to wspaniałe, jak piękny widok!

Tu zatrzymała na mnie swe cudowne oczy. Ja zaś, chociażbym o sławie miał był swoje własne zdanie, nie śmiały go wypowiedzieć pod wpływem tego spojrzenia.

— Istotnie — przyswiadczyłem — dla mnie także żądza sławy nie jest przewodnią gwiazdą życia; nie żałuję, że bez ludzkiej pamięci utoną w morzu zapomnienia. Ale rozumiem dobrze, co to być musi tęsknota za sławą. Nie to marne ubieganie się o hołdy współczesnych, lecz pragnienie sławy pozagrobowej nazwałbym jedną z najpiękniejszych i najszlachetniejszych namiętności ludzkich — pragnienie owej sławy, której echa już się nie usłyszy, ową chęć zachowania imienia swego na ziemi, gdy człowiek już jako jednostka istnieć na niej przestanie. To właśnie, a nie co innego jest nieśmiertelnością człowieczeństwa jako całości, w której człowiek, jak mrący polip w gałązce korzalowej zostawia ślad i pamięć swej pracy.

Sława.

Gdy wazedł, dzwignął się z trudnością z po-
stania, wspaniał nogi do miękkich pantofli, spart delika-
tną przestro czystej białości rękę o poręcz krzesła, lecz
nagle wstrząsnął nim krótki, bolesny kaszel, a wátte
ciało osunęło się znou na posłanie. Gdy się kaszel
uspokoił, przemówił do niego po czechu, jestem tro-
chę panstawaista—jak mówi na zachodzie; podobnie
dawno waszą mowę, a nauczyłem się jej z gramatyki
i książek, oraz przez częste obcowanie z czechmi o-
sadnikami tutajszymi.
Zadalem mu kilka pytań, by zbadać chorobę.
Odpowiadał na nie krótko. Naraz zapytał mnie
z żywym blaskiem w oku:
— Pan jest czechem?
— Nie, ale umiem po czechu.
— Tak mnie to cieszy—wyszepiał i zaraz dodał
po cichu:
— Proszę, powiedz pan rodzicom, aby zostawili
nas samych. Bardzo bym pragnął z panem sam na
sam pomówić.
Popatrzywszy na niego z lekkiem zdziwieniem,
spełniłem życzenie.
Gdyśmy zostali sami, powstał, a zdjąwszy z krze-
sła książkę, wskazał mi na nie lekkiem pochyleciem
ręki i błagalnym wejrzeniem, prosząc bym usiadł. Po-
tem sam siadł, a rączki padł na skrąju posłania i
podparł się rękami o jego krawędź.
Matem okienkiem, przez które widac było bujne
spłatanie gązdzie poblizkiego lasu, widać wazutki pro-
mien słonecznego światła, ozlaczając lekko czoto chore-
go i otaczając, niby aureolą, małą miniaturkę Byrona,
przylepioną wraz z innymi obrazkami na parawanie.
— Mój ojciec—zaczął, kaszając, cichym głosem—po-
wiedział panu bezwzględnie, że nie chce z uniwersy-
tetu i zmarłował całą przyszłość. Ja jednak spełni-
łem sumiennie powołanie całego życia. Wiem dobrze
że wrócić przyjdzie mi umrzeć! Nie kręć pan głowę

— 22 —

„Jakże groźnie po przez stępy
Hube wojska mknie”
Nagle waldllwie zarumieniona umilkła i w pomie-
szaniu spuściła złotowłosą główkę. Ale wnet ją pod-
niosła, oczkiem rzuciła dokola, uśmiechnęła się ukazu-
jąc piękny rząd białych zębów, zatarta spiesznie
rączki i zatrzepotała się jak kuczątko w piasku.
— No—zapiszczał Suslikow—wszyscy już wypo-
wiedzieli swe zdanie w tym przedmiocie, tylko Paweł
Siemionowicz w naszym rozmowaniach nie brał za-
dugo dotychczas udziału. Wypowiedz myśl swoją,
Pawle Siemionowiczu.
— Tak, tak, powiedz pan, co sądzisz o sławie—
zawolał inni.
Tabunow się uśmiechnął i zamyslił. Jakas chmu-
ra smutku ukazała się na jego czole, i rozciągająca się
na całej twarzy. Po chwili tak mówić zaczął:
— Pytaacie, państwo, co to jest wedding mego
zdania sława. Powiem wam; ale uprzedzam, że to
dluga, bardzo długa historia.
— Nie nie szkodzi; mamy jeszcze dość czasu—
zaczęto wołać dokola chórem.
— Przedewszystkiem, proszę jeszcze o szklanke
herbaty.
Podczas gdy pulcha ręką Anny Kiryłowny na-
pełniła szklanke aromatycznym płynem, Tabunow
zrobił sobie papierosa; poczem po kilku łykach her-
baty i paru wonnych obłoczkaech dymu, tak rzeczą swą
rozpoczął.
Przebieg roku na wiosnę przyszedł do mnie
pewien czechski osadnik z Metoddyówki i prosił, bym
odwiedził jego chorego syna. Obiecałem, że będę u
niego po południu. Jakoz po obiedzie wsiadłem na
konia i pokłusowałem do czechkiej osady.
Wiedział też pan tamtejszych swoich rodaków—
zapytał opowiadający, zwracając się ku mnie. A gdy m
mu kiwnięciem głowy przyświadczył, mówił dalej.

— 19 —

— Herbata! proszę!—odezwał się w porę podnie-
siony głos Anny Kiryłowny. Pomógł mi on bardzo
do wydobycia się z trudności, do jakiej mnie zawio-
dły moje skromne zdolności krasomówcze i niedostatecz-
na biegłość w rosyjskim języku.

Uczta była pyszna, a i widok oryginalny. W
tym wspaniałym kraju gór, który się jeszcze przed
kilkudziesięciu laty roił dzikimi Czerkiesami, na po-
chyłości kaukazkiego wierzchołka, wesołe towarzystwo
europejskie, wygodnie rozłożone na jedwabistej trawie
około potężnego metalowego samowaru, z malowniczą
strażą dwóch kozaków, w sąsiedztwie pasących się ko-
ni, przedstawiało oryginalny, z samych kontrastów zło-
żony obraz. Herbata grzała wewnątrz—słońce paliło z
góry; po niektórych twarzach perlily się krople potu.
Chiński nektar spełniał swoją powinność.

Skoro potem kiedykolwiek spostrzegłem jakieś to-
warzystwo rosyjskie około samowaru, jak się wokoło
twarze rozjaśniały, oczy stopniowo zapalały, usta do
uśmiechu i rozmowy składały, a gra fizyjononii i
ruchy więcej żywości nabierały, zawsze utwier-
dzałem się w przekonaniu, że herbata jest dla rosy-
jan tem, czem woda dla ryby—żywielem ożywiający.
Przy samowarze dopiero tryska prawdziwa rosyjska
weselość.

— Ale, o czem to przed chwilą takeście żywo
rozprawiali, — zapytała naraz Anna Kiryłowna.

— O kwestyi, dla ciebie bardzo mało zajmującej
— odpowiedział z uśmiechem Tabunow—O sławie.

— O sławie? masz słusność. Więcej bym mnie
z pewnością zajęła rozmowa o marynowaniu owoców.

— Ależ Anno Kiryłowno!—zaszczebiotała Dunia-
szka—Czyż nie pojmujesz pani, co to jest sława? Ach
jakże ja bym chciała być sławną! Szkoda, że nie je-
stem mężczyzną, i że niemogę zostać generałem. Jakby
to było pięknie! Pamiętajcie śpiew Lermontowa:

i nie uśmiechaj się; mnie nie takiej pociechy trzeba;
czy zgasną za rok, czy za tydzień, zawsze umrę spo-
kojnie. Com mógł wykonać, to wykonałem. Pracowa-
łem pilnie; moi dobrzy, ale prości rodzice, nie mają
o tej pracy wyobrażenia, a nawet i przed innymi kry-
łem się z nią. Przychodzi mi na myśl porównanie z
owocem kukurydzy: w zielonem pokryciu, zasłonięty
przed wzrokiem ludzkim, rośnie, dojrzewa, aż wresz-
cie ostatni zawój liściowy usycha i opada, a na wierz-
chu wydobywa się w całej okazałości piękna uroda złote-
go ziarna. Tak i to, co tworzyłem w tajemnicy, uj-
rzy z czasem światło słoneczne! Cieleśna ta obsłona
którą stanowią, opadnie i zetli się, ale owoc zostanie
i świecić będzie nazawsze. Pan jesteś człowiekiem
wykształconym; dlatego z pierwszego wejrzenia po-
wzięłem zaufanie do niego i zwierzę mu się ze swej
tajemnicy...

— Jestem poetą!

Ostatnie dwa słowa wymówił niedosłyszalnym
prawie szeptem, ale z siłą przekonania, zatrzymując
przytem błędzący wzrok na oświeconej słońcem mi-
niaturze Byrona, stojącego z odsłoniętą piersią i na-
tehnionem okiem na odlamie wysokiej skały, o którą
się rozbiły wzburzone fale oceanu.

Aha! więc to poeta—pomyslałem sobie, patrząc
na zwiędłą twarz chorego. Pisanie wierszy, to choroba
młodzieży, słabość dziecienna, z której się większość
zwykle leczy. Niektórzy jednakże zarymowują się na
śmierć.

Bawiłem się sam za młodu złotemi strunami li-
ry; ale teraz już od dawnego czasu nie czytam na-
wet poezyj. Nie jestem jej zwolennikiem, zwłaszcza
lirycznej. Nie rozczulam się cudzemi zachwytaami, po
większej części sztuczniemi. Moją poezyją jest noc
gwiazdzista, gdy wracam od chorego na swym koniu,
środkiem drzemiącego lasu, gdy w jego czarnych głę-
biach zabiła mi się bukiety bzu i upoją silną

— 23 —